



Pojedynczy podmuch wiatru zmusił mistrza magnetyzmu do przytrzymania czarnego kapelusza, aczkolwiek nie przeszkodził mu w nieznacznym odchyleniu głowy, niosącym za sobą niewybredne spojrzenie; uważnie rejestrował słowa, padające z ust płomiennowłosej i choć rzeczywisty sens krył się pomiędzy wierszami, on miał swoje racje. Widział w ludziach wyłącznie miłą papkę bez własnego zdania, pasji czy jakichkolwiek głębszych rozważań; według nich wszystko to, co przewyższało ich w obojętnie jaki sposób, bądź też było ciężkie do wyjaśnienia, stanowiło zło, podstawę do siania paniki, strachu i przejawiania irracjonalnych zachowań. Wargi Magneto drgnęły, acz w porę zdążył zainterweniować, finalnie zachowując kamienny wyraz twarzy; „*kto jak nie ludzie, mają największą predyspozycję do niszczenia wszystkiego, czego się dotkną?*”

—— Mutanci. —— Odparł ironicznie, taksując wzrokiem leżące na popękanych płytach betonowych, niewartego splunięcia, mężczyznę; choć napawał go niewątpliwym obrzydzeniem, wszelakie inwektywy pozostawił dla siebie.

—— Myślę, że właśnie taka odpowiedź padłaby z ust pierwszego z brzegu inwalidy intelektualnego, czyż to nie zabawne? Ludzie wpierv z premedytacją wbijają kij w mrowisko, a później płaczą i uciekają do mamy, bo pogryzły ich okropne mrówki. Prawda jest taka, że te marne istoty po prostu zazdroszczą takim jak my, boją się ewolucji, zepchnięcia na dalszy plan i wiesz co? Całkiem słusznie. —— Rzuciwszy ostatnie zdanie, pozwolił sobie na nieznacznym, lecz paskudnym w ogólnym rozrachunku, uśmiech; Lehnsherr miał to do siebie, iż w zadziwiająco szybkim tempie, pokrywał realistycznymi wyobrażeniami swe wypowiedzi, rozmaite obrazy w głowie mężczyzny, tworzyły swego rodzaju idylliczny dla niego świat, stale uzupełniany scenariusz do najlepszego filmu w dziejach.

—— To jak sztafeta, po ukończonym biegu, trzeba przekazać pałeczkę, a oni niewątpliwie mieli już swoje pięć minut. —— Skwitował, wsuwając dłonie do kieszeni długiego, czarnego płaszcza, wykonanego z gęsto tkanej bawełny; gdzieś na dnie jednej z nich miał kilka gwoździ, stanowiących swoiste zabezpieczenie, w rękach Erika bowiem każdy, choćby i najmniejszy kawałek żelastwa, mógł odegrać rolę śmiercionośnej broni. Zaciśnął na nich palce, pozwalając kontroli magnetycznej dowolnie zmieniać ich kształt; burza powoli ustępowała, aczkolwiek pojedyncze wyładowania wciąż dawały o sobie znać i niekorzystnie wpływały na organizm mutanta, dlatego postanowił skoncentrować swoje nadnaturalne umiejętności na wspomnianych, błahych przedmiotach. Tajemnicza kobieta, łuna z przeszłości, coraz bardziej intrygowała Magnusa, gdy z niezachwianą pewnością siebie, niwelowała dystans stawiając kolejne kroki, niczym wytrawny gracz; bez wątplenia wiedziała z kim ma do czynienia, a ów spotkanie z dziełem przypadku – *prawdopodobnie* – nie miało wiele wspólnego.

Przekrzywił lekko głowę w bok, zmrużywszy przy tym powieki, kiedy tylko

spozrzegł niewielki płomień na czubku jej palca, podpalający koniec papierosa; dotychczas poznał kilku mutantów, potrafiących władać lub nawet tworzyć ogień, niemniej jednak miał nieodparte wrażenie, iż pierwsza myśl, jakoby rozmówczyni należała do rasy homo superior, była najzwyczajniej błędna. Chwilę później – *gdy aparat w formie bryły, opadł na głowę nieszczęśnika, ogłuszając go* – mistrz magnetyzmu z niezmaconą koncentracją, wsłuchiwał się w dalsze słowa rudowłosej; czyżby właśnie próbowała go manipulować? Tylko po co? Magneto z natury był wręcz chorobliwie podejrzliwy, dostrzegał drugie dno niemalże na każdym kroku, przez co treść wypowiedzi – *wręcz stuprocentowo pokrywająca się z jego poglądami* – niebezzasadnie budziła nieufność. Trzymając dłonie w kieszeni, przerzucił nerwowo w palcach powyginane gwoździe, zachowując przy tym swój charakterystyczny, surowy wyraz twarzy, jedynie linia żuchwy zarysowała się krzywniej bardziej, gdy z ust kobiety padło wymowne „*zresztą kto, jak nie ty, wie to najlepiej [...] Eisenhardt*” – wiedział, a konfrontacja z przeszłością w jego przypadku, nigdy nie niosła za sobą niczego pozytywnego. Zaciśnął wargi w wąską kreskę; *zasadniczo skąd znała to nazwisko?* Lehnsherr jakiś czas po wyzwoleniu obozu koncentracyjnego, gdzie stanowił wyłącznie numer i drogocenny materiał badawczy, zmienił swoje dane personalne, usilnie odgradzając grubą kreską obecnego siebie, od tego, kim wtenczas był. Pozostając niewzruszonym, zmielił w ustach to, co cisnęło mu się na język i najzwyczajniej w świecie słuchał dalej; w pewnym momencie rozciągnął wargi w półuśmiechu, a następnie prychnął pod nosem.

——— W takim razie po co przyprowadziłaś tutaj tego – *niedbałym skinieniem głowy wskazał na nieprzytomnego mężczyznę* – imbecyla z podstarzałą lustrzanką? Chciałaś w ten sposób zademonstrować mi swoje umiejętności, udowodnić, że mam do czynienia z wyższym bytem? — Pytając, nie odrywał baczenia od jej oczu i nikłego, nieco tajemniczego uśmiechu; nie musiała nawet udowadniać, iż ma do zaoferowania więcej, aniżeli zwykły śmiertelnik, pokroju tego, zdobiącego obecnie krawężnik, spowity kurzem... gdzie pasował idealnie. Aura jaką płomiennowłosa roztaczała wokół i niezachwiana pewność siebie w konfrontacji z osobnikiem typu Magnusa, mówiły same przez się, niemniej postanowił kontynuować.

——— Później zauważyłaś, że nie zrobiło to na mnie jakiegokolwiek wrażenia i próbujesz się z tego wycofać z twarzą, sprytnie zagranie. — Dodał, rozluźniając palce, dotychczas ciasno oplatające garść gwoździ, po czym wyjął dłonie z kieszeni, aby poprawić kołnierz rozwianego płaszcza. Spozrzegł zmianę w spojrzeniu rudowłosej, gdy tylko padło nazwisko „*Spellman*”; ku zadowoleniu Erika, utrzymywana dotąd fasada niewzruszenia, jakby nieznacznie przygasła i można tutaj debatować, iż mutant odniósł mylne wrażenie, aczkolwiek nie od dziś wiadomo, że oczy są kluczem do prawdy, a to właśnie w nich dostrzegł wspomnianą powyżej, zmianę.

——— Czytasz mi w myślach. — Odparł, za moment przerzucając uwagę na domniemanego fotografa, powoli wstającego z klęczek i chwiejnym krokiem, usiłującego opuścić ciemny zaułek; oczywiście musiał wpaść na latarnię, co tylko utwierdziło Lehnsherra w przekonaniu, iż nawet najprostsze czynności niekiedy przerastają rasę ludzką, nazywającą siebie – *gatunkiem naczelnym*. Wywróciwszy oczyma, wyciągnął rękę przed siebie i za sprawą magnetokinezy, uniósł aparat, stanowiący obecnie zbitek śrubek i metalowych płytek, a kolejno cisnął nim w kierunku oddalającego się fajtlapy.

——— *Zapomniałeś.* — Rzucił bardziej do siebie, aniżeli do niego, odchylając głowę do tyłu; burza niemal całkowicie ustąpiła, przynosząc wyczekiwane ukojenie, niemniej pewna myśl wciąż nie dawała mu spokoju, pomimo to, wszelakie wywody postanowił odwlec w czasie.

——— Dlaczego właściwie pozwoliłaś mu odejść? — Wychrypiął nieprzyjemnie, wyrażając tym samym swoje niezadowolenie.

\* \* \*

Max Eisenhardt miał na swoim koncie liczne zbrodnie, aczkolwiek tak naprawdę nie potrafił jednoznacznie określić, co skłoniło go do popełnienia tej pierwszej, bezpośrednio torującej drogę ku późniejszemu; pierwotnie pragnął zemścić się, posprzątać – *jak zwykły mawiać* – świat z niedobitków III Rzeszy, wąskich umysłów, przypominających o sobie za każdym razem, gdy mutant spoglądał na swoje zniszczone ciało i opuszką palca powoli okrążał kształt jednej z dziesiątek blizn, powstałych w trakcie eksperymentów, lecz jak wiadomo – *apetyt rośnie w miarę jedzenia*.

Ze zdumiewającą dokładnością pamiętał swoją pierwszą ofiarę, niewysokiego mężczyznę – łachmaniarza, stojącego nieopodal dwuskrzydłowych drzwi, prowadzących do trzypiętrowej, starej kamienicy i praktycznie niemającego nic wspólnego z ideologią hitlerowską, ot, zwykły „cywil”, jak zostałby nazwany przez współczesnych bohaterów w przyciasnych wdziankach; pod wpływem alkoholu, rzucał przechodniom niewybredne spojrzenia i uparcie szukał zaczepki, tworząc tym samym irytującą, jednoosobową lożę szyderców. Eisenhardt wtenczas siedział na ławce z gazetą, po drugiej stronie ulicy i pobieżnie śledząc kolejne artykuły, sporadycznie przerzucał uwagę na delikwenta, wyobrażając sobie, jak przysłowiowy język w gębie, odmawia mu posłuszeństwa; zapewne skończyłoby się wyłącznie na pięknych wizjach, gdyby nie przypadkowo nawiązany kontakt wzrokowy. Tenże – *zdawać by się mogło* – błahy powód, z powodzeniem przechylił szalę abominacji, jaką mutant od dawna żywił w stosunku do odrażająco głupich ludzi, zarozumiałych i przekonanych o swej wyższości nad innymi, *nad nim*. Jednym, lakonicznym ruchem dłoni, sprawił, iż element ciężkiej, metalowej konstrukcji, znajdujący się tuż nad drzwiami przechylił się i z impetem przeszył ciało mężczyzny, niczym krzyż ojca Brennana w fenomenalnym obrazie „Omen” z 1976 roku; wpływająca, ciemna krew skutecznie odwracała uwagę od frajerskiego uśmiešku, jaki zastygł na jego twarzy, natomiast ta, płynąca w żyłach Maxa, zawrzała pod wpływem ekscytacji [...].

Pierwsza ofiara wygładziła niestabilny grunt, kolejne skrupulatnie budowały mur, wokół wewnętrznego „*potwora*”, przez lata karmionego niehumanitarnymi działaniami Klausa Schmidta; czy Max miał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia? Niezupełnie – początkowo czuł swego rodzaju obawy, jakoby własnymi czynami, upodabniał się do swych oprawców, niemniej rzeczony powyżej facet – *według niego* – zasługiwał na to, co go spotkało i gdyby tylko mógł cofnąć czas i ponownie podjąć tę decyzję, nie wahałby się ani przez sekundę. Nie bał się konsekwencji w postaci kary czy jakiegoś – *pozał się Szatanie* – aresztu. *Już nie*.

Ludzie zasługiwali na to, co najgorsze, choć w ogólnym rozrachunku winni być wdzięczni za to, iż mutant zazwyczaj podchodził do nich dość litościwie, załatwiając całość szybko i – *przyuszczalnie* – bezboleśnie, biorąc na wzgląd to, iż to oni częstokroć szukali zaczepki, a jak wiadomo, po śmiechu zawsze nastaje płacz, natomiast w ich przypadku – *grobowa cisza*.

Po wszystkim wyłącznie przyglądał się niedowierzaniu, zastygłym na ich twarzach, jakby permanentnie wyrytym w nieruchomych już rysach, aczkolwiek najczęściej uwagi poświęcał pustym spojrzeniom; wiedział, iż podobnym wzrokiem przed laty, raczył konowałów, sięgających po skalpel lub kolejną strzykawkę z płynem niewiadomego pochodzenia, dlatego nie kwapił się, aby po raz ostatni przymknąć ich powieki. Zresztą zazwyczaj działał z dystansu, nie przepadał bowiem za zeskrobywaniem ze swego ciała, daremnej, skrzepłej juchy.

Bywały jednak chwile, podczas których sporadycznie, acz niechętnie wracał wspomnieniami do pierwszego incydentu, przypominał sobie targające nim wówczas motywy, rozważał także różnorakie – *lecz niewiele różniące się od faktycznych dokonań* – rozwiązania; im więcej myślał, tym pamięć przytaczała mu coraz więcej drażniących szczegółów, jak chociażby logo drużyny futbolowej, widniejące na spranej koszulce mężczyzny, urwane dialogi czy też szeroki, prawdopodobnie srebrny łańcuszek, odbijający promienie słońca. Bzdury, głupoty. Frustrował się, nie potrafił pojąć, dlaczego umysł grał z nim w kotka i myszkę, usiłując zebrać mikroskopijne odłamki sumienia w całość, ażeby w pełni sił mogło zaważać z „*wewnętrznym potworem*”; początkowo przynosiło to pewne rezultaty, jednakże pogarda Maxa wobec gatunku ludzkiego, wzrastała w zastraszającym tempie, a każda następna ofiara, pozostawiała coraz mniejszy ślad na jego psychice. Czuł satysfakcję.

Zapominał. Wyrzucał z pamięci twarze, spojrzenia, okoliczności, wyrzucił również dawnego siebie, przybierając nowe imię. *Erik Magnus Lehnsherr*.

\* \* \*

——— Widział i słyszał zbyt wiele, chociaż... wątpię, że zbierze w sobie wystarczające pokłady odwagi, aby komukolwiek o tym powiedzieć. Znając życie wyłączone na terapii. — Zaśmiał się gorzko, ostatecznie koncentrując uwagę na

kolejnych, odpowiednio intonowanych słowach, padających z ust nieznajomej; *po słownych przepychankach, w końcu zaczynało robić się ciekawie*. Kącik wąskich warg mutanta, drgnął ku górze; *magia*, coś za wyświechtane sformułowanie. Doskonale pamiętał swoje pierwsze tygodnie w obozie, omalże w całości spędzane w spowitym bieli, laboratorium, pamiętał również ówczasie przyczepioną łatkę istoty magicznej, demona, potwora z głupawych legend lub bajek na dobranoc i generalnie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby teorie – *niby to ludzi uczonych, machających dyplomami na prawo i lewo* – stanowiły wyłącznie luźną sugestią, jedną z dostępnych opcji, ale nie... potajemnie uparcie brnęli w to, co tak bardzo ich fascynowało, koniec końców, hodując późniejsze rozczarowanie. Nie wchodząc kobiecie w słowo, jedynie uśmiechnął się pod nosem, gdy padło sformułowanie „*wąskie umysły*”, rzadko wszak spotykał na swej drodze osoby, wyrażające pogardę wobec rasy ludzkiej w tak otwarty sposób.

——— Mimo wszystko ambicji nie można im odmówić, w końcu w dalszym ciągu dążą do stłamszenia takich jak my, prawda? Wymyślają kolejne sposoby, działają na gruncie technologicznym i kontynuują ten swój nieśmieszny, niskolotny kabaret. — Przyznał, odpowiednio dozując kpinę w ton, jakim się posłużył.

——— Naiwne stworzenia, lepsze od obłudy. — Przybierając maskę obrzydzenia, ostentacyjnie otarł dłoń o płaszcz; dość szybko niecodzienny przejaw humoru zaniknął, pod naporem dalszej wypowiedzi, nawiązującej do wydarzenia sprzed kilkadziesiąt lat. Zacisnął wargi w wąską linię, zupełnie ignorując aprobatę odnośnie posiadanych zdolności, niechętnie dając wolną drogę swym paranojom, momentalnie tworzącym liczne scenariusze; jak się o tym dowiedziała? Żaden świadek nie przeżył wydarzenia w Argentynie, nikt nie mógł opowiedzieć kobiecie o incydencie w barze, ot tak. Telepatia? Czy to możliwe, że wachlarz jej zdolności, wkraczał również na znienawidzone przez niego, sfery? Zaklął w myślach, jednocześnie utrzymując swój nieodgadniony wyraz twarzy, zachowując tym samym pozory niewzruszenia.

——— Owszem, zasłużyli, jak mało kto. — Podtrzymał stanowczo, zmrużywszy oczy; nie zamierzał dopytywać o źródło tych informacji, wierzył, że wyjdzie ono w trakcie późniejszych rozmów. Zsunął z głowy czarną fedorę i zaczesał palcami zmierzwione włosy do tyłu.

——— Prorocze sny? — zagadnął z rozbawieniem, uniósłszy brwi. ——— Ktoś jeszcze w to wierzy? Szukałaś mnie... śledziłaś, tylko po to, aby skonfrontować swój proroczy sen z rzeczywistością? Nie wiem jaką rolę odegrałem w tej banialuce, ale nie wierzę w takie rzeczy. — Oznajmił butnie, zaciskając jednak zęby, gdy tylko padło nazwisko „*Schmidt*” z nieodpowiednim przedrostkiem.

——— Doktor? Byłby nim ewentualnie, gdyby kupił sobie plastikowy zestaw dla dzieci ze stetoskopem i bawiłby się w szpital z pluszakami. — Prychnął, ponownie wsuwając dłoń do kieszeni, aby kurczowo ścisnąć w palcach kilka gwoździ; jak to możliwe, że po takim czasie wspomnienie mężczyzny sprawiało, iż krew niespokojnie buzowała w żyłach Magnusa? Pomimo pierwszej reakcji, postanowił zapoznać się w swoim czasie z – *dopiero co wysmianą* – nocną marą, potraktowaną niczym słaby dowcip.

——— Skąd znam twoje nazwisko, Spellman? Zapewne spodziewasz się wielowątkowej historii, ale zaskoczę cię... — Zamilkł w połowie zdania, spojrzeniem ostrym niczym krawędź noża obrzucając troje zdezorientowanych nastolatków, stojących kilka metrów za rudowłosą; prawdopodobnie byli stałymi bywalcami tegoż zaułku, biorąc pod uwagę tani alkohol, trzymany w worku jednorazowym, przez jednego z nich. Cóż, gdyby wzrok potrafił zabijać, Magneto mógłby odhaczyć trzy kolejne miernoty na swej niepisanej liście ofiar.

——— Myślę, że to nie jest odpowiednie miejsce na tego typu rozmowy. — Wymownie skinął głową w kierunku drogi głównej, po chwili wymijając zarówno kobietę, jak i nieproszonych gości.

Pół godziny później.

Lehnherr obrał sobie za cel hotel, gdzie od niedawna stacjonował, ażeby załatwić wszystkie swoje sprawy w mieście niewiniątek, wiedział, że miejsce to – *choć nie należało do szczytu marzeń* – fundowało prywatność, niezbędną do rozmów na tematy, nawiązane parę chwil wcześniej.

——— Tutaj chociaż nie ma tego cholernego wiatru. — Skwitował, stojąc już pod drzwiami, prowadzącymi do pokoju o odpowiednim numerze, następnie



zerknął na Spellman i nie czekając na oklaski, za sprawą kontroli magnetycznej zwolnił zarówno zamek, jak i uchylił drewniane skrzydło, finalnie puszczając kobietę przodem; wyczuwał korzyści ze współpracy z nieznajomą, dlatego wołał zadbać o takie szczegóły, choć wcale nie musiał.

Zawiesił kapelusz na niewielkim haczyku tuż przy wejściu i ruszył w głąb pomieszczenia.

—— Po ostatnim incydencie, obsługa hotelowa nawet na mnie nie patrzy, tak więc nie będzie nam przeszkadzać. Whisky? —— Zagadnął, podchodząc do zakluczonego barku i na swój sposób dostał się do środka; powziął jedną z butelek i wymownie wyciągnął ją przed siebie z niemym zapytaniem, wykwitłym na twarzy.

—— Wracając do rozmowy, tak jak już wspominałem – *w międzyczasie sięgnął po dwie szklanki o grubym dnie* – nie kryje się za tym żadna, niesamowita historia. —— Zaczął, zerkając na nią kątem oka. —— Kojarzysz może Svena Wagnera? Chociaż nie... wydaje mi się, że herr Braun nieco bardziej zapadł ci w pamięć, Spellman. Niegdyś miałem z nim do czynienia, ponieważ był jednym z ostatnich niedobitków na mojej liście, mających cokolwiek wspólnego z oświęcimskimi praktykami. Miał mnie doprowadzić do Schmidta.

—— Wręczając Zeldzie szklankę, w odpowiedniej ilości wypełnioną bursztynowym trunkiem, uśmiechnął się nikle.

—— Zabiłem go. —— Obwieścił na wskroś przesączonym satysfakcją, tonem, kontynuując. —— A później udałem się do jego domu, gdzie odnalazłem sporo interesujących dokumentów. Facet prowadził jakieś swoje chore archiwa, a wśród opisanych przez niego osób, byłaś również ty – Zelda Spellman, jedna z wielu kobiet. Myślę, że twoja rola nie kończyła się na mianie żony czy kochanki jednego z nich, hm? Co tak naprawdę chciałaś ugrać, zadając się z taką podróbą człowieka? —— Zapytawszy, popatrzył na krawędź trzymanej przez siebie szklanki i zaraz przesunął wzdłuż niej kciukiem; powoli zaczynał łączyć wątki.

—— I jaki to ma związek ze mną?

